

teatr

21.06. 1981
Kultura

BEZ ZACH- WYTÓW

Agnieszka
Baranowska

nej wloką się w nieskończoność. Pomysł wydawał się dobry.

Powtórzenie sukcesu radiowego ITR czy „60 minut na godzinę” nie okazało się jednak możliwe. Ucieleśnienie sceniczne postaci Majstra i Docenta odmieniło poetykę ich humoru: z absurdalnego stał się raczej płaski. Może to i dlatego, że czas biegnie, że to, co bawiło w czasach konieczności aluzji mniej bawi teraz, gdy nie zawsze te aluzje są niezbędne. A gdyby były (bo mają i swoje uroki) to niech by bardziej wyrafinowane, przemyślane, głębsze itp.

Przeciwstawienie inteligenta i człowieka prostego w starciu życia codziennego jest pomysłem nienowym. Już Mroźek w postaciach XX i AA z „Emigrantów” docierał do rozpaczki ich wzajemnych uwikłań oraz różnic mentalności. Jakże pole do popisu stwarza pokazanie takiej sytuacji na gruncie komediowym? „Fachowcy” na scenie Teatru „Komedia” w Warszawie (a chodzi o oni po różnych teatrach naszego kraju

„Fachowcy” Friedmanna i Kofty mieli prawdopodobnie być nie tylko śmieszną opowieścią o ludziach wynajętych filozofii cwaniactwa, ludziach wychowanych przez pewien dość spójny system, w którym oplacają się jedne rzeczy, inne nie. Nie tylko satyrą na społeczność jednej kamienicy, w której zdrowy rozsądek reprezentuje Władziowa (Zofia Merle), przepijające życie nieudacznika Framuga (Bogusław Koprowski) bezinteresowny seks panna Nina (Hanna Orsztynowicz-Czyż), a perypetie i przepychanki władzy dyrektor Min-taj (Cezary Jurski) i Ogon (Tadeusz Kwinta).

Należy sądzić, że autorzy mieli ambicje nieco większe: ukazania absurdów naszej bylej rzeczywistości na przykładzie (czy za pomocą metafor) krótkich migawek z życia jednej kamienicy (dziesięcioletniej). Pomysłów jednak starczyło im na dłuższy skecz, a nie na całą dwugodziną sztukę.

Chociaż aktorzy robią co mogą (Hanna Orsztynowicz stara się wy-



„Fachowcy, czyli po prostu robota”

Jonasza Kofty i Stefana Friedmanna w reż. Jerzego Gruzzy

Fot. K. RAGO

Widzowie klaszczą, bo ze sceny pada kilka niezłych dowcipów. Jeden absurdalny. Dzwoni telefon, ktoś podnosi słuchawkę, słychać strzały. Wszyscy rzucają się na ziemię. — To z automatu — mówi Docent (Krzysztof Stroiński). Inny o wersji optymistycznej i pesymistycznej wyjścia z kryzysu. Nie będziemy powtarzać. Dla zgodności z faktami można dodać, że jest jeszcze kilka innych, które bawią, albo nie. Część lekko ściągniętych, jak ten o kraju, który z trzech stron miał przyjaciół, a tylko z jednej strony morze (przypomina się *Piwnica pod Baranami*). To zresztą jeszcze cieszty. Inny o królu Edwardzie I już mniej. Przede wszystkim dlatego, że spóźnił się co najmniej o dwa lata. Jak i całe przedstawienie. Niestety.

W związku z tym robi się tak ja-koś smutno, że żyjemy w kraju, w którym niezbyt groźne dowcipy o politykach mają szansę ukazać się na scenie teatralnej dopiero po odejściu tychże z areny politycznej. Może to i służy jakiemuś rozładowaniu nastrojów domagających się zadośćuczynienia krzywdom i wypaczeniom. Ale chyba jest także odrobinę żalozne. Cali „Fachowcy, czyli po prostu robota” Stefana Friedmanna i Jonasza Kofty robią, niestety, takie wrażenie. Pyszne skądinąd kawałki, kiedy leciały w radio w kilkuminutowych odcinkach, na scenie teatral-

od Sierpnia jako bardzo dowcipna sztuka) sprawiają wrażenie, że praktycznie niewielkie. Oto Majster (Janusz Rewiński) i Docent (Krzysztof Stroiński). Dwie skontrastowane postaci świata pracy: człowiek ludu, rubaszny cwaniak o swojej specyficznej filozofii i własnym kodeksie postępowania oraz zagubiony inteligent, wyrolowany z instytutu naukowego, który bardziej odpowiadałby jego wykształceniu.

U Mroźka w tonacji serio w starciu inteligent — człowiek ludu szanse są wyrównane. Każdy z nich umie boleśnie dotknąć drugiego, zna jego marzenia i słabe strony. W tonacji satyrycznej Friedmanna i Kofty ten układ sił przedstawia się nieco inaczej; górą jest Majster, jako człowiek, który ma wypracowany już pełny światopogląd, którego właściwie nic nie jest w stanie dotknąć. Wątpliwy inteligent ukazany jest jako ten, co zawsze traci, ten którego Majster musi wprowadzać w tzw. prawdziwe życie. Jego nabyta wiedza (książkowa) mało przydaje się w praktyce, no, może tylko przy rozprawianiu krzyżówek. Jest przegrany, bo jeszcze czasami w coś wierzy, nie umie (choć już uczy się) urządzić się wygodnie w życiu.

głądać ładnie, Rewiński ze Stroińskim czyli Majster z Docentem tańczą niezłe), przedstawienie wypada mało bezwartościowo, nie przekonania, że uczestniczymy w czymś zabawnym. Gdzie leży wina, po stronie autorów, którzy radiowy kabaret chcieli przemienić na teatralny show, a może aktorów, trochę bez serca odnoszących się tym razem do Friedmanna i Kofty, lub widowni, która — należy podejrzewać — wolałaby obecnie ostry kabaret polityczny wprost, albo odwrotnie w tonacji serio głęboką analizę układów społecznych minionego dziesięciolecia? „Fachowcy” sprawiają wrażenie sztuki, która z powodzeniem mogła być grana przez ostatnie dziesięć lat. Teraz budzą lekkie rozczarowanie.

I trochę śmiechu, bo publiczność skoro przychodzi do Teatru „Komedia” i to na sztukę satyryczną, to życzy sobie śmiać się. Nawet jeżeli przez długie minuty nie ma z czego. Być może, tak jest z „Fachowcami” jak z marzeniami zrealizowanymi: to nie to, na co się czekało.

Teatr „Komedia” w Warszawie: Stefan Friedmann, Janusz Kofta, „Fachowcy czyli po prostu robota”, reżyseria: Jerzy Gruzza, współpraca reżyserska: Krzysztof Materna, scenografia: Alicja Wirth, muzyka: Jacek Mikuła, choreografia: Witold Grucal, aranżacja: Czesław Majewski, opracowanie wokalne: Jerzy Bugaj.